

Zbigniew Mierzwiński

Wrzesień w oczach generałów

Niepodległość i Pamięć 16/2 (30), 249-262

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Zbigniew Mierzwiński

Warszawa

Wrzesień w oczach generałów

Nasz żołnierz we wrześniu 1939 r. trwał w oporze 35 dni. Wówczas wydawało się to niektórym kłeską bez precedensu. Lecz po kampanii polskiej Niemcy uderzyli na zachód i wtedy zobaczyliśmy, jak szybko rozsypywały się państwa bardziej uprzemysłowione od nas, więc i lepiej przygotowane do obrony. W Polsce zaangażowane były 64 niemieckie dywizje przeciw 48 polskim. Trzeba podkreślić ogromną przewagę techniczno-sprzętową armii niemieckiej. Natomiast w rok później, na zachodzie, 143 niemieckie związki taktyczne miały przeciw sobie aż 157 alianckich. Biorąc pod uwagę liczbę żołnierzy, alianci mieli niemal trzykrotną przewagę nad Niemcami w tamtym okresie, także prawie równorzędne lotnictwo i broń pancerną. Kraje te broniły się zaledwie 38 dni... Na podstawie już tych kilku danych możemy stwierdzić, że polski opór stawiany niemieckiej machinie wojennej we wrześniu 1939 r. jest – obiektywnie stwierdzając – zjawiskiem bez precedensu, godnym najwyższego uznania.

Jakże słusznie stwierdził po trzydziestu latach gen. Roman Abraham: „Kampania wrześniowa na ziemi polskiej jest prologiem II wojny światowej, uznanym dziś przez cały świat jako skuteczna siła realnego oporu i jako przykład rzetelnie spełnionego obowiązku żołnierza i dowódcy. Była ona zarazem jednym z najtrudniejszych etapów tysiącletniej drogi bojowej naszego narodu. Trzydzieści lat temu Polska pierwsza przyjęła na siebie ciężar całej potwornej maszyny wojennej, która zaskoczyła świat nieznaną dotychczas siłą oraz szybkością i skutecznością działania broni pancernej i lotnictwa”.

Brytyjski historyk wojskowy J.F.C. Fuller rekapitulując polski wrzesień, tak między innymi pisze o poczynaniach wojsk aliantów: „Najsilniejsza armia świata, mając przed sobą nie więcej niż 26 dywizji, siedziała cichutko, ukrywawszy się za stalą i betonem, podczas gdy dzielny do szaleństwa sprzymierzeniec polski ginął”. Inny historyk brytyjski, J. Kimche w swojej książce *The Unfought Battle* zaznacza wyraźnie, że to nie Polska była winna przegranej we wrześniu 1939 r. lecz jej zachodni alianci, przede wszystkim Francja z generałem Gamelin na czele, a także i Wielka Brytania.

Generał A.J. Narbut-Łuczyński z goryczą wspominał po latach w swych pamiętnikach: „Przez cały czas trwania naszych zmagania nie padła na Niemcy ani jedna bomba sojuszników. Działania o celach ograniczonych, do których zobowiązała Francję umowa wojskowa zostały podjęte 4 września, ale na 90 dywizji zgromadzonych na froncie Gamelin użył tylko 15 na szerokości zaledwie 25 kilometrów, opanowując opuszczony przez Niemców obszar na głębokości 8 km. Już jednak 12 września zawiadomił on Najwyższą Radę Sprzymierzonych, że nie zamierza kontynuować tych działań, ponieważ i tak nie mogą one już pomóc powalonej Polsce”. I dalej przypomina gen. Na-

rbut-Łuczyński: „Kampania wrześniowa trwała 35 dni. Zdziwienie, lekceważenie, a nawet pogarda dla krwawego wysiłku Polski miały wkrótce ustąpić pod wrażeniem błyskawicznego upadku innych państw, zasobniejszych armii. Holandia została pokonana w 5 dni, Jugosławia w 13 dni, wojsko belgijskie i brytyjski korpus ekspedycyjny we Francji uległy po 18 dniach, potężna armia francuska złożyła broń w 46 dniu kampanii”.

Tu i ówdzie czyta się lub słyszy stwierdzenia, że Polska zaniedbała swoje przygotowania obronne, że wyposażenie armii było przestarzałe itp. Ale autorzy tych w wielu przypadkach subiektywnych i niezwykle uproszczonych tez zapominają, że nasze państwo cieszyło się swoją niepodległością zaledwie 21 lat. Poprzedzało ją stulecie wyniszczającej niewoli i rabunkowa polityka zaborców. W tym czasie gospodarka niemiecka nie uległa świadomej dewastacji, tylko intensywnie się rozwijała. Jedynie przegrana Niemiec w I wojnie światowej chwilowo zahamowała jej rozwój. Państwo polskie po odzyskaniu niepodległości musiało we wszystkich dziedzinach życia nadrabiać ponad wiekowe zaległości. Na niemożność szybkiego unowocześnienia naszej armii wpłynęły w różnym zakresie: zbyt niski budżet, bardzo skromny przemysł, a w związku z tym duże koszty produkcji i niewystarczające pożyczki zagraniczne. Pomimo skomplikowanej sytuacji gospodarczej w kraju powołano w latach trzydziestych Komitet do Spraw Zbrojenia i Sprzętu Wojskowego z gen. Kazimierzem Sosnkowskim na czele. Zaczęto poważnie myśleć o unowocześnieniu naszej armii. Utworzono Fundusz Obrony Morskiej oraz rozpisano pożyczkę na cele OPL. Trzeba jednak krytycznie stwierdzić, że Komitet w swym działaniu napotykał szereg trudności, a czasem nawet brak zrozumienia ze strony najwyższych czynników wojskowych i cywilnych. Pomimo to Polska zaczęła już pomału wkraczać na drogę unowocześniania armii.

Ponieważ jednak w zasadzie przemysł zbrojeniowy dopiero się rozwijał, jego zdolności produkcyjne były jeszcze bardzo niskie. W przeciwieństwie do Niemiec koszt produkcji sprzętu wojennego w Polsce był bardzo wysoki.

W latach 1933-1939 wydano u nas na wojsko i przygotowanie obronne około 7 miliardów złotych. W tym samym czasie Niemcy wydały (w przeliczeniu) około 200 miliardów złotych. W celu zwiększenia możliwości przezbierania armii w Polsce ubiegano się o pożyczki zagraniczne, a następnie o zakup nowszego sprzętu za granicą. I tak, w Anglii starano się o 60 milionów funtów, a otrzymano jedynie 8 i to dopiero 5 września 1939 r.; we Francji wystąpiono o kwotę 2 250 milionów franków, z czego zdążono zrealizować jedynie 380 milionów, w tym 250 na rozbudowę przemysłu polskiego.

Jak relacjonuje gen. Kazimierz Sosnkowski: „Z zamówionych jeszcze w 1936 r. na podstawie uchwały KSUS 15 dywizjonów armat przeciwlotniczych Scheldera do września 1939 r. Francja nie dostarczyła nam ani jednej armaty, ani jednego aparatu centralnego. Jeszcze gorzej stały sprawy ze sprzętem pancernym. (...) Po usilnych staraniach zdołaliśmy uzyskać z Francji dopiero po dwóch latach, a więc w roku 1938 zaledwie jeden batalion lekkich (10-tonowych) czołgów R. 35, a dalsze nieznaczące ilości tychże czołgów zaczęły nadchodzić dosłownie w ostatniej chwili przed wojną, tak iż w ogóle nie mogły być użyte. Z zamówionych wcześniej w Francji czołgów średnich 18-tonowych «Somnax» w ogóle nie dostaliśmy ani jednego. Wielka Brytania, jak wynika ze sprawozdania dowódcy brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego, lorda Gorta, posiadała w ogóle w roku 1939 zaledwie około 400 czołgów na własnym uzbrojeniu. Z powyższej ilości 240 czołgów (czyli całość wyposażenia korpusu) pozostało na plażach Dunkierki”. Tyle generał Sosnkowski, a więc osoba chyba najbardziej miarodajna w tej sprawie.

Gdy 1 września 1939 r. wojska niemieckie rozpoczęły działania wojenne przeciw Polsce, zostaliśmy tym brutalnie zaskoczeni. Do ostatniej bowiem chwili ludzono się, że konfliktu zbrojnego uda się uniknąć na drodze rokowań dyplomatycznych. Niejasna sytuacja międzynarodowa i naciski zachodnich sprzymierzeńców uniemożliwiły przeprowadzenie pełnej mobilizacji. Jak podaje generał Głabisz – w wyniku tego 1 września na miejscach przeznaczenia znajdowało się tylko: 66 proc. naszej piechoty, 71 proc. kawalerii i 50 proc. artylerii. Brakowało więc aż 17 dywizji piechoty, 2-3 brygad kawalerii, odwodów oddziałowych w wielkich jednostkach i armiach, ponadto sztaby i służby były niekompletne. Mobilizowanie niektórych wielkich jednostek wojskowych odbywało się już pod bombami lotniczymi nieprzyjaciela, co w dużej mierze utrudniało normalne czynności organizacyjne.

A jak wyglądał pierwszy dzień wojny widziany oczyma dowódców, dyplomatów i polityków polskich? Byli oni przecież bezpośrednimi uczestnikami tamtych wydarzeń, więc naocznyimi świadkami naszej najnowszej historii. Oddajmy im głos.

Tak relacjonuje ten dzień szef Sztabu Głównego WP gen. Wacław Stachiewicz: „Pierwsze meldunki o rozpoczęciu działań wojennych nadeszły do Sztabu Głównego 1 września między godziną 5 a 6 rano. Meldowano z Pomorza i ze Śląska, że artyleria niemiecka ostrzeliwuje nasze stanowiska obronne. Natychmiast zarządzone został alarm Sztabu i chociaż nie było nalotu na Warszawę, zarządzono alarm lotniczy stolicy. Niezwłocznie również powiadomiony został Naczelny Wódz, Prezydent RP, Minister Spraw Wojskowych i rząd, oraz rozesłano zawiadomienia do dowódców armii i Okręgów Korpusów. Kwatera Główna Naczelnego Wodza zainstalowała się niezwłocznie w gmachu przy ulicy Rakowieckiej, przygotowanym do pomieszczenia jej w czasie wojny. Wkrótce zaczęły napływać meldunki z różnych stron Polski o bombardowaniach lotniczych, które skierowane były przeważnie na lotniska i linie komunikacyjne oraz na niektóre garnizony mobilizacyjne. Dowódca Armii Pomorze meldował, że nieprzyjacielskie oddziały pancerne wkroczyły na Pomorze; walka toczy się w okolicy Chojnic; most kolejowy i drogowy pod Tczewem zostały na czas wysadzone w powietrze. W Gdańsku Niemcy ostrzeliwiają Westerplatte z lądu i z pancernika szkolnego «Schleswig-Holstein»”.

Ówczesny dowódca lotnictwa i obrony przeciwlotniczej – gen. dr Józef Zając pisze w swych pamiętnikach: „O godz. 6 zbudził mnie telefon płk. Stebelskiego, szefa łączności Inspektoratu Obrony Powietrznej Państwa, z wiadomością o bombardowaniu przez Niemców Rybnika, Tarnowskich Gór, szczególnie silnie lotniska w Krakowie, o nalotach w kierunku na Łódź. Za chwilę syreny ogłosiły alarm Warszawy. To jest rozpoczęcie wojny przez Niemców bez wypowiedzenia. Udaję się do Inspektoratu, z którego mamy się przenieść do schronu przewidzianego dla Kwatery Głównej Naszego Dowództwa. Nadchodzą dalsze wiadomości o bombardowaniu okolic Gdyni, dalej Radomia, Sadkowa, Kielc, Brześcia nad Bugiem, Białej Podlaskiej (gdzie pali się fabryka lotnicza), Grodna, Małaszewicz (gdzie palą się dwa «Łosie»), stacji Tunel, Skarżyska, Żychlina, Lublina. Pociąg pod Ujazdowem trafiony bombą. Łódź ostrzeliwana ogniem karabinów maszynowych z aparatów lecących lotem koszącym. Koło majątku Grabowo pod Grodnem wyskoczył skoczek spadochronowy, lecz spadochron się nie otworzył i skoczek się zabił. Sieć dozorowana zdaje egzamin, gdyż podaje wszystkie wiadomości na czas. Poleciłem zaalarmować środki czynne Warszawy. Nasze lotnictwo myśliwskie obrony Warszawy startowało, ale dotychczas bombardowania tutaj nie było. Poleciłem wezwać do dowództwa płk. Hellera, dowódcę brygady bombowej. Wiadomość z godz. 8.45: Przemysł bombardowany przez około 27 samolotów (dywizjon),

3 naloty, Krosno bombardowane, 4 rannych. Koło Jedlicz lądował przymusowo samolot niemiecki, 3 sierżantów wzięto do niewoli. Po południu bombardowanie Warszawy: rejon Okęcia, Powązek, Praga. Około 30 bombowców osłanianych Messerschmidami 109 i 110. Zostały przyjęte przez nasze zgrupowania myśliwskie, które przed południem odparły nalot na Warszawę, oraz przez bardzo silny ogień artylerii przeciwlotniczej obrony Warszawy. Na Okęciu bombardowano PZL Płatowce (wytwórnię płatowców). Straty na ogół nieduże, trochę ludzi zabitych i rannych. W czasie jednego bombardowania pomylili się i bombardowali Służewiec (tor wyścigowy). Artyleria własna strzelała bardzo różnie. Rezultat naszej obrony, zarówno przez myśliwców, jak i przez ogień artylerii był taki, że zgrupowania npla musiały manewrować, rozpraszać się (co mogliśmy obserwować z nawierzchni schronu) i zrzucić bomby byle gdzie. (...) Nasza artyleria strzelała bardzo nierówno, czasem nie bacząc na walki myśliwców i przeszkadzała im. W związku z tym w rozmowie z płk. Baranem zwróciłem uwagę na: 1) oszczędzanie amunicji, której szybkostrzelne działa przeciwlotnicze mogą wystrzelać bardzo dużo w krótkim czasie, 2) dążenie do poprawienia rezultatów ognia przez omawianie błędów, 3) lepsze uwzględnienie współpracy z myśliwcami.

Walki zgrupowania myśliwskiego były bardzo zacięte, nasi lotnicy walczyli wspólnie, po bohatersku rzucając się na przeważającego liczebnie i jakością sprzętu nieprzyjaciela; toteż straty własne były bardzo duże. Pierwsze wiadomości mówią o stracie 5 maszyn, które nie wróciły oraz uszkodzeniu 10 samolotów”.

Tak wspomina początek działań wojennych ówczesny dowódca Nowogródzkiej Brygady Kawalerii, gen. Władysław Anders: „Nadchodzą wiadomości, że Niemcy napierają na całym froncie. Batalion mojej piechoty pod Działdowem jest w ciężkiej walce. Muszę im pomóc i posyłam odwód. Silne natarcie idzie na 20 dywizję piechoty w Mławie. Walki rozgorzały także na lewo ode mnie. Na mój odcinek napór stosunkowo niewielki. Pułki moje walczą z powodzeniem z wysuniętymi oddziałami przeciwnika. Z niepokojem patrzę w niebo, gdzie potężne formacje samolotów niemieckich przy zupełnym braku naszych. Przez radio słychać ciągle: «Uwaga, nadchodzi!». Przychodzą wiadomości o zbombardowaniu nie tylko Warszawy, ale i szeregu miast i miasteczek na głębokich tyłach. W wielu miejscach komunikacja kolejowa jest przerywana. Ciężkie walki na Pomorzu. Przeczuję już trudności, jakie nas czekają z powodu tłumów nieszczęśliwych uchodźców. Wozy z dobytkiem i bydło zaczyna tarasować drogi. Widząc oddziały wojskowe, uchodźcy zatrzymują się i uniemożliwiają wszelki normalny ruch. Wysyłam rozkazy, aby przyspieszyć budowę umocnień pod Płockiem, który broni przejść przez Wisłę, gdyż jest to kierunek mojego odwrotu. Mława, pomimo przewagi nieprzyjaciela, trzyma się dzielnie”.

Dowódca 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej, ówczesny płk Stanisław Maczek, tak pamięta tamte wydarzenia: „(...) Wybuch działań wojennych o świcie 1 września był równym zaskoczeniem dla tych wśród nas, którzy stanowczo twierdzili, że do wojny nie dojdzie, jak i dla tych co lada dzień jej wybuch prorokowali. Jedni mówili «a jednak», a drudzy «a mówiłem», co w ogólności stwarzało ten sam obraz zaaferowanych i zaskoczonych wypadkami ludzi. Dosłownie «zaskoczonych», bo nalot niemieckich samolotów na Kraków nie ominął też kilkoma bombami rejonu zakwaterowania oddziałów brygady, nie wyrządzając zresztą żadnych strat w ludziach czy sprzęcie. Po prostu taka «oryginalna» pobudka o świcie 1 września, przerywająca okres niepewności, który dla brygady zaczął się już w marcu”.

Dowódcą floty, któremu podlegały w czasie Kampanii Wrześniowej wszystkie jednostki naszej marynarki wojennej, wojska obrony wybrzeża i lotnictwo morskie, był od 1925 r. kontradmirał Józef Unrug. Jego zadaniem nakazanym mu jako dowódcy floty przez marszałka Rydza-Śmigłego, było przeszkadzanie w komunikacji morskiej między Rzeszą a Prusami Wschodnimi; obrona Helu – bazy dla marynarki wojennej i obrona Gdyni.

Oto jak wspomina on po latach początek wojny: „Dzień 1 września. Niemcy rozpoczynają działania wojenne przeciw Polsce, atakują o świcie Westerplatte z lądu. Odbiór radiosygnалу z Westerplatte: «SOS – jestem atakowany». Około godz. 5 samoloty niemieckie uderzają na lotnictwo morskie w Pucku. Ginie dowódca Morskiego Dyonu Lotniczego kmdr por. Szystowski, kilku podoficerów i marynarzy. Duża część naszych samolotów uszkodzona. Po południu pierwszy nalot bombowy na Hel, na baterię 150 mm «cyplową», wykonany przez około 20 tzw. Sztukasów. Są straty w ludziach; straty materialne nieznaczne. Część bomb nie detonuje. W tym samym czasie naloty bombowe na Gdynię i port wojenny na Oksywiu. Tracimy ORP «Mazur» i bazę nurków, z dużą stratą ludzi w obu wypadkach. Poza tym zniszczono parę statków pomocniczych portu wojennego. Około godz. 17 nastąpiło natarcie kilkudziesięciu samolotów npla na okręty «Gryf», «Wicher» i dyon minowców, znajdujące się w głębi Zatoki Puckiej. Rychło rano tegoż dnia nastąpił pierwszy nalot npla na port wojenny w Gdyni bez rzucania bomb, przypuszczalnie dla rozpoznania celu. Popołudniowy nalot bombowy był widocznie wymierzony przeciwko okrętom podwodnym, które jednak już rano, po nalocie rozpoznawczym npla, opuściły port. (...) Wobec ogromnej przewagi lotnictwa npla i całkowitej bezbronności przeciwlotniczej bazy lotniczej w Pucku, kazałem wywieźć nie zniszczone wzgl. mało uszkodzone samoloty i pomieścić je wzdłuż wybrzeża półwyspu w sąsiedztwie Jastarni, w nadziei, że uda się je uruchomić. Niestety, usiłowania w tym kierunku nie dały rezultatów, wskutek ciągłego działania lotnictwa npla. Wobec tego przez cały czas na wybrzeżu współpracy własnego lotnictwa nie było wcale. Z personelu MDLot. sformułowany został oddział piechoty w sile ok. 300 ludzi, który obsadził Wielką Wieś z zadaniem obrony nasady Półwyspu Helskiego przeciw spodziewanym w krótkim czasie natarciom npla. Nowy samolot «Cant», przybyły z Włoch, został odesłany do Dębłina. Przybył bez uzbrojenia, które miało być wmontowane w Pucku, a to okazało się już niemożliwe”.

Na ogół mówi się o chaosie i braku jakiegokolwiek organizacji, spowodowanej zaskoczeniem wojennym. Czy jednak tak było naprawdę i wszędzie? Zaprzeczenie tego stanowi chociażby relacja gen. Aleksandra Szychowskiego – ówczesnego szefa komunikacji Naczelnego Wodza.

Po latach napisze on między innymi: „W dniu 1 września szef sztabu gen. Stachiewicz zapytał mnie, czy podejmę się przewieźć transportami operacyjnymi Naczelnego Wodza dwie dywizje piechoty z rejonu południe od Gdańska do rejonu Koluški-Skarżysko, motywując to bardzo pilnymi względami operacyjnymi. Chociaż w czasie mobilizacji powszechnej i ogólnej koncentracji zmobilizowanej armii, ze względu na masowy ruch transportów planowych, nie powinno się zarządzać transportów operacyjnych Naczelnego Wodza, to jednak ze względu na dobre i sprawne wyniki przewozu zmobilizowanych jednostek alarmu ogólnego w dniach 25-31 sierpnia oraz bardzo wysoki stan moralny i podniosły nastrój ogółu pracowników kolejowych i oficerów służby transportowo-kolejowej, podjąłem się wykonania tego wyjątkowo trudnego zadania. Transportami operacyjnymi zostały przewiezione dwie dywizje piechoty (zdaje się 13, numeru drugiej nie pamiętam) i kilka jednostek pozadywizyjnych do rejonu

Koluszki-Skarżysko w dniach od 1 do 5 lub 6 września i tam wyładowane. Był to duży sukces naszych kolejarzy w tak wyjątkowo trudnych warunkach”. A dalej wspomina: „Z meldunków napływających do I eszelonu szefa komunikacji Naczelnego Wodza, wynikało, że mobilizacja sieci kolejowej przebiega pomyślnie i zgodnie z opracowanymi w czasie pokoju elaboratami mob. bez zakłóceń. (...) Również z meldunków o sytuacji transportowej wynikało, że dla transportów planowych są przygotowane składki pociągów, dosyłane na stacje załadowania, jednostki wojskowe ładują się i zgodnie z planem odjeżdżają w nakazanych kierunkach. Tak trwało przez pierwsze kilka dni wojny; szczególnie optymistyczne były meldunki za 1, 2 i 3 września, za te dni nie meldowano o żadnych zatorach i korkach oraz o żadnych większych opóźnieniach transportów”.

Wspomniany wcześniej gen. Aleksander J. Narbut-Łuczyński tak w swoich pamiętnikach relacjonuje początek wojny: „O świcie otrzymuję meldunek telefoniczny od adiutanta 11 p.p. (w Tarnowskich Górach), że oddziały niemieckie przekroczyły granicę; walka toczy się o kopalnię Radzionków; lotnictwo bombarduje dworzec kolejowy w Tarnowskich Górach. Prosi o zezwolenie pierwszej fazy ewakuacji (rodziny wojskowych i Komenda Rejonowa Uzuppełnień). Upewniwszy się, że nie jest to akcja dywersyjna, prowadzona już przez kilka nocy z rządu na terenie Górnego Śląska, wydałem rozkaz wycofania rodzin i RKU. Wojewoda krakowski (Tymiński) zawiadamia o godz. 15.50, że rozporządzeniem Rady Ministrów został wprowadzony z dniem 1 września 1939 roku stan wojenny na obszarze województwa krakowskiego. Dowódca armii gen. Szylling, zapytany, czy i jakie uprawnienia w stosunku do obszaru etapowego armii zechce mi przekazać (zgodnie z przewidywaniami instrukcji kwatermistrzowskiej), odpowiedział, że nie zamierza rezygnować z żadnych uprawnień, które wykorzystywał przez cywilnego Komisarza Rządu przy dowództwie armii. Komisarz ten nie uznał za wskazane skontaktować się ze mną. Dowódca plutonu straży granicznej z Dziedzic melduje, że po stoczeniu walki z niemieckimi samochodami pancernymi, wspierany przez szwadron kawalerii, po unieszkodliwieniu trzech samochodów pancernych – wycofał się do Dziedzic, gdzie oczekuje dalszych rozkazów. Nie mając kompetencji rozkazodawczych do oddziałów straży granicznej, zaleciłem mu nawiązać kontakt z najbliższym baonem piechoty, którego m.p. znalazłem pierwotnie, a poza tym poinformowałem go, że zepchnięte z granicy oddziały straży mają wyznaczoną Rawę Ruską, jako miejsce ich ośrodka.

W godzinach porannych nad lotniskiem 2 p. lotn. w Krakowie zjawia się samolot rozpoznawczy typu Dornier z polskimi znakami lotniczymi i dokonuje zdjęć fotograficznych. Mimo podejrzeń ze strony niektórych oficerów, że to nie może być polski samolot – pozwolono mu bez przeszkód dokonać zdjęć. Wkrótce po jego odlocie zjawia się nad lotniskiem grupa bombowców w liczbie 19 i rozpoczęła bombardowanie. Zostały zniszczone: budynek dowództwa 2 p. lotn., mieszkanie dowódcy pułku, uszkodzony jeden hangar i pociskami z k.m. podziurawione nieszkodliwie niektóre zbiorniki na benzynę. Ponadto zostały rozbite lub spalone 24 płatowce sportowo-turystyczne, sprowadzone nieopatrnie do Krakowa z lotnisk turystycznych (w Aleksandrowicach koło Bielska i w Katowicach). W związku z nalotem zostało zarządzone wycofanie części zapasowych z magazynów bazy lotniczej”.

Płk dyplomowany Zygmunt Bohusz-Szyszko dowodzący wówczas 16. Pomorską Dywizją Piechoty wspomina: „Poranek 1 września 1939 r. na Pomorzu w okolicach Grudziądza był bezwietrzny i mglisty. (...) Była dokładnie godz. 4 rano, gdy odezwały się pierwsze działa artylerii niemieckiej. Strzelały na ślepo. (...) Stały się one (strzały)

sygnałem alarmowym dla naszych oddziałów. Zaroily się wioski, w których kwatrowały pułki pomorskiej dywizji piechoty. Pośpiesznie i sprawnie obsadzono pozycje obronne, budowane poprzednio, artyleria stanęła na stanowiskach. Telefony bez przerwy dźwięczały we wszystkich dowództwach, sztabach i urzędach. Po drutach płynęły z różnych punktów granicznych wiadomości prawie jednocześnie: niemiecka piechota z czołgami wkroczyła na nasze terytorium i posuwa się na Grudziądz. (...) 16 Pomorska Dywizja Piechoty zajmowała odcinek obronny około 60 km. Część odcinka biegła zachodnim brzegiem Wisły frontem ku wschodowi i była dozorowana częściowo przez oddziały regularne, częściowo przez Obronę Narodową. Główne siły dywizji skupione były w dwóch grupach: w obszarze Grudziądza i dalej na wschód w obszarze wioski Słupski Młyn, gdzie przebiegała jedna z głównych szos z Prus Wschodnich do Torunia. Obrona Grudziądza oparta była na systemie uzbrojonych i częściowo zrujnowanych fortyfikacji tej twierdzy, częściowo tylko uzupełnionych wybudowanymi w ostatnich dniach schronami betonowymi. Obrona kierunku na Toruń oparta była wyłącznie na umocnieniach polowych, niewykończonych i niekompletnych, gdyż wykonane były zbyt powolnie przy zastosowaniu niewystarczających środków technicznych. Ten stan rzeczy był skutkiem niewiary w możliwość wojny (...) Umocnienia połowe obejmowały południowy brzeg rzeki Ossy, płynącej doliną, gdzieniegdzie szeroką i bagnistą, to znów mającą strome i urwiste brzegi (...) Był to odcinek zajmowany przez 74 pułk piechoty, rozmieszczony w dwóch rzutach obronnych. I batalion pod dowództwem mjr. Rewerowskiego obsadzał wysuniętą na północny brzeg rzeki pozycję, obejmującą najważniejsze tu wzgórze 98 oraz las leżący u jego podnóża.

Pozycja ta miała charakter przedmościa broniącego dostępu do przeprawy przez rzekę (...). Na lewo od 64 pp. wzdłuż rzeki broniły się bataliony 65 i 66 pp., na prawo kompania cyklistów i szwadron kawalerii dywizyjnej ubezpieczały obronę dywizji. Pomiedzy dwoma zgrupowaniami 16 dywizji istniała pięciokilometrowa luka, dozorowana jedynie przez patrole; nie było dostatecznych sił i środków do obsadzenia całego, zbyt szerokiego odcinka. Około godz. 6 rano zaczęły napływać pierwsze meldunki od placówek straży granicznej i ubezpieczeń piechoty, wysuniętych na przedpole. Można było się już zorientować, że Niemcy uderzają dwoma zgrupowaniami, z których zachodnie kierowało się na Grudziądz, wschodnie zaś na Słupski Młyn. Obydwa ich zgrupowania trafiły bezpośrednio w ogniska najsilniejszej obrony po naszej stronie. Ruch Niemców był ostrożny i powolny. Gęsta mgła pokryła wprawdzie przed naszymi oczami wszystkie ich poruszenia, lecz z drugiej strony i im nie pozwalała na szybki ruch. Czołgi ich były ślepe, a artyleria nie miała celów. O godz. 9 walka toczyła się w miasteczku Łasin, leżącym w odległości 6 km od naszych stanowisk. Przywieziono pierwszych rannych, zameldowano o pierwszych zabitych. Nasze dobrane oddziały ubezpieczające, połączywszy się ze strażą graniczną, powoli wycofywały się na pozycję głównego oporu. Około godz. 10, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, mgła zaczęła rzednieć i znikać. (...) Po raz pierwszy w tej wojnie ujrzeliśmy nieprzyjaciela. (...) Dopiero około godz. 12.30 rozpoczęło się natarcie (Niemców). Szło ono z obu stron szosy i kierowało się frontalnie na przedmieście zajęte przez I batalion 64 pp. Poprzedzone było koncentracją ognia kilku baterii ciężkich (...). Wydawało się, że okopy będą zrównane z ziemią, a z obrońców nikt nie zostanie przy życiu. Kiedy jednak zza wzgórza zjawily się rozwiniętą długą linią czołgi niemieckie i postępująca za nimi piechota, odezwały się na wzgórze nasze karabiny maszynowe i działka przeciwpancerne, a ogień ich stawał się z każdą chwilą coraz silniejszy i celniejszy. Obrońcy, czarni od dymu i kurzu, ogłuszeni hukiem eksplozji, wysuwali się na krawę-

dzie lejów, wyciągali broń maszynową ukrytą dotychczas na zboczach, stromo opadającym ku rzece i pluła kulami w nacierającego nieprzyjaciela. Piechota niemiecka zatrzymała się po przejściu zaledwie parunastu metrów. Jedynie czołgi szły naprzód. Cztery działka przeciwpancerne i dwie połowki piechoty, znajdujące się na wzgórzu, podjęły teraz żmudne prace. Artyleria wsparcia również nie próżnowała. Znowu więc nasze pociski szły na spotkanie pancerza niemieckiego i zmusiły go do odwrotu. Dziewięć czołgów niemieckich pozostało na bliskim przedpolu. (...) Atak niemiecki odparto. (...) Około godz. 15 nastąpił drugi atak niemiecki. (...) Obrona trwała pomimo wszystko. Drugi atak przypłacili Niemcy dalszymi pięcioma rozbitymi czołgami i dużymi stratami w ludziach”.

Pułkownik Stanisław Sosabowski, dowódca 21. pp „Dzieci Warszawy” tak wspominał dzień 1 września 1939 r.: „1 września w rejonie Ościstowa zastała nas wojna, wczesnym rankiem widzieliśmy chmary samolotów niemieckich, zdążających na południe Warszawy. W tym dniu pułk poniósł pierwsze straty, ponieważ tabory przybyłe do Ciechanowa po zaopatrzenie, zostały częściowo zbombardowane przez lotnictwo nieprzyjaciela. W nocy z 1 na 2 września maszerowaliśmy w kierunku na Mławę. Przybliżyliśmy się ku 20 DP, która walczyła na umocnionych stanowiskach w rejonie samej Mławy”.

I wreszcie spojrzenie na ten dzień gen. (wówczas płk.) Stanisława Kopańskiego: „W piątek 1 września, około godz. 6 rano, obudził mnie telefon oficera służbowego Oddziału Operacyjnego Sztabu. Meldunek jego był krótki: «Melduję z Armii Kraków, że rozpoczęło się natarcie niemieckie.» Równocześnie rozpoczął się pierwszy alarm lotniczy dla Warszawy i nalot. Zdawałem sobie sprawę, że krytyczny moment w życiu mego Narodu nastąpił i że zamyka on pewien okres Jego historii”.

Zanim zapoznamy się z fragmentami ocen kampanii wrześniowej dokonanych przez swoich i obcych, warto zapoznać się z kilkoma relacjami polityków i dyplomatów polskich. Minister spraw zagranicznych płk Józef Beck zanotował w swoich pamiętnikach, co następuje: „Wiadomość, że Niemcy rozpoczęły działania wojenne, dotarła do mnie w chwili, w której samoloty niemieckie zrzuciły pierwsze bomby na Warszawę. Alarm był zarządzony około 6. O szóstej piętnaście zadzwonił do mnie Szef Sztabu Głównego komunikując mi, że działania wojenne zostały rozpoczęte i że Kwatery Naczelnego Wodza ma swą siedzibę w jednym z gmachów przy ulicy Rakowieckiej. Natychmiast udałem się do Marszałka, aby z pierwszej ręki otrzymać wiadomość o operacjach wojskowych. Stwierdziłem, że chodziło o generalny atak na całym froncie, a nie o jakąś częściową czy lokalną akcję. Z miejsca poinformowałem o tym nasze placówki dyplomatyczne za granicą i wydałem polecenie naszym ambasadom w krajach sojusznicznych, aby na podstawie naszych układów sprzymierzeńczych natychmiast przedsięwzięli kroki w kierunku spowodowania współdziałania wojskowego. (...) Łukasiewicz, nasz ambasador w Paryżu, poczynił zresztą odpowiednie kroki natychmiast po otrzymaniu przez telefon pierwszych wiadomości o przebiegu wydarzeń, o których powiadomił również naszego ambasadora w Londynie Edwarda Raczyńskiego. Fakt nader znamienity, do 7 rano mieliśmy połączenia z Londynem i Paryżem przez Berlin. Ostatnia rozmowa telefoniczna z naszą ambasadą w Berlinie została przerwana około 7. Wyraźne było, że Niemcom, niezależnie od istniejącego od kilku dni napięcia, specjalnie zależało na momencie zaskoczenia”.

Następnie minister Beck relacjonuje działalność niemieckiego lotnictwa nad Polską. Sporo miejsca poświęca też omówieniu postawy sojuszników, pisząc na ten temat: „Rządy sojusznicze przyjęły nasze démarche w sposób nie pozostawiający żadnej wą-

pliwości co do zaistnienia casus foederis. Jednakże zasadnicze decyzje natury wojskowej zostały opóźnione z racji zastosowania przestarzałej procedury: Rada Ministrów, uchwały Izb itp. Wydając rozkaz powszechnej mobilizacji, Francja ustaliła dzień 2 września jako pierwszy dzień mobilizacji. Data ta miała dla nas szczególne znaczenie, gdyż polsko-francuskie układy wojskowe przewidywały ogólną ofensywę w piętnastym dniu mobilizacji francuskiej (protokół Kasprzycki-Gamelin). Strona francuska i brytyjska przyznały szczerze, że rząd brytyjski nalegał, aby Paryż przyśpieszył wysłanie ultimatum i wypowiedzenie wojny Rzeszy w wypadku nie przyjęcia tego ultimatum, co do którego zresztą nie mogło być żadnej wątpliwości, że nie zostanie przyjęte”.

W uzupełnieniu tej relacji warto zacytować jeszcze parę zdań ze wspomnień Pawła Starzeńskiego – sekretarza ministra Becka, „O wczesnej porze (1 września) biura były już prawie pełne MSZ w Pałacu Brühlowskim. Poszedłem zameldować się do ministra; był zimny, spokojny i opanowany. Pani Beckowa z pomocą córki i p. Jadwigi Prażmowskiej organizowała stację pierwszej pomocy, zgłaszały się do niej żony moich kolegów”.

Gen. Antoni Szymański, ówczesny pułkownik – attaché wojskowy przy ambasadzie RP w Berlinie, tak wspomina dzień 1 września: „Około 4 nad ranem zerwaliśmy się wszyscy, przebudzeni warszawskim alarmem radiowym o niemieckim najeździe. A więc bez wypowiedzenia wojny... Hitler kłamał nawet wówczas, w pierwszym swym orędziu radiowym, że musiał «strzelać» w odpowiedzi na polskie strzały. Ale jego «es wird zurückgeschossen» nie przekonało nikogo, że to nie on rozpoczął wojnę. Niemcy przerwali naturalnie natychmiast łączność ambasady nie tylko z Warszawą, ale w ogóle z kimkolwiek. Przedstawicielstwo Polski zamknęło ze swojej strony bramę wjazdową. Widniejąca na niej tarcza z naszym godłem państwowym świadczyła o eksterytorialności tego gmachu. (...) W ambasadzie kończono przygotowania związane z naszym wyjazdem z Niemiec. Były one naturalnie już zawczasu opracowane, ale Warszawa postawiła ambasadorowi do wyboru drogę ewakuacyjną oraz państwo neutralne, któremu miano powierzyć mienie polskie w Rzeszy. W rachubę wchodziły Szwajcaria lub Szwecja”.

I jeszcze jedna relacja jakże wymowna dla ówczesnej „sojuszniczej” postawy Brytyjczyków. Władysław Günther, poseł polski w Atenach, tak o tym pisze w swej relacji: „1 września, przed 10 rano, poseł Wielkiej Brytanii, Michael Palariet, zatelefonował do mnie, prosząc o natychmiastowe przybycie do jego poselstwa, gdzie oczekuje mnie kilka osób, które tego dnia rano przyjechały z Londynu i są w drodze do Warszawy. Gdy zjawiłem się w jego gabinecie, poseł Palariet przedstawił mi ubranych po cywilnemu pięciu oficerów angielskich, wiozących do Polski «ważny sprzęt wojskowy». Chodziło o ułatwienie im dalszej podróży, o ile można drogą lotniczą. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności tego dnia znajdowały się na lotnisku ateńskim dwa polskie samoloty osobowe, które przedstawiciel naszej linii lotniczej mjr Krassowski (zginął jako pilot w Battle of Britain nad Londynem), mógł dać do dyspozycji. Dla omówienia szczegółów poprosiłem przybyłych, aby udali się ze mną do Poselstwa polskiego celem spotkania się z mjr Krassowskim. Powstał bowiem problem ich bagażu: 30 skrzyń, gdy nasze samoloty mogły pomieścić 6 do 8 skrzyń. Postanowiliśmy więc wyekspediować pozostałe skrzynie jako bagaż dyplomatyczny statkiem rumuńskim, odpływającym tegoż dnia do Constanzy, a dalej koleją do Lwowa i Warszawy. (...) W trakcie naszej narady, mniej więcej o 11 rano, zadzwonił na moim biurku telefon. Był to wspomniany już p. Pesma Zoglou, który głosem drżącym ze wzruszenia komunikował: – Jestem w redakcji Elefteron Vima. Co tylko przyszły depesze z Berlina, że samolo-

ty niemieckie zbombardowały Warszawę i inne miasta polskie. Rząd polski uznał tę akcję za *casus belli*. Zwróciłem się do obecnych, oświadczając: – Dowiaduję się w tej chwili, że Niemcy zaatakowały Polskę. Jest to początek wojny... Na te słowa samorzutnie i jakby mimowolnie wszyscy powstali z miejsc. Któryś z Anglików szepnął, nie wiem czy do siebie, czy to do nas: «That is war»... Poleciwszy oficerów angielskich majorowi Krassowskiemu i urzędnikowi Poselstwa, W. Wojnowskiemu, sam zajęłem się ustaleniem zadań Poselstwa, stosowanie do instrukcji wojennej. Poza tym zaczęły się telefony z redakcji, urzędów, znajomych – wszystkich przejętych brzemiennej nowiną”.

Do najbardziej chlubnych kart najnowszej historii należy na pewno obrona Warszawy w 1939 r. Dowódca tej obrony, gen. Walerian Czuma w swej wypowiedzi w latach sześćdziesiątych tak wspominał tamte wydarzenia: „Do najcięższych przeżyć, jakie miałem w swym życiu wojskowym, należą chwile, jakie przeżyłem w dniach września 1939 roku. Dostałem zadanie obrony Warszawy przed możliwym zagonem niemieckiej, czwartej dywizji pancernej, która przebiwszy polski front, skierowała się na Piotrków, stąd mogła uderzyć na Warszawę. Środki do obrony, jakie otrzymałem na razie były to cztery baony piechoty, niepełne i niekompletnie uzbrojone. Początkowo nie było artylerii polowej ani przeciwpancernej. Na szefa sztabu obrony przydzielano mi pułkownika dyplomowanego Tadeusza Tomaszewskiego. Mieliśmy niewesołe miny, gdyżśmy z płk. Tomaszewskim opuszczali gabinet ministra Spraw Wojskowych, który wydał mi rozkaz obrony stolicy trzeciego września w południe, a na pożegnanie dodał, że czołgi niemieckie mogą się znaleźć lada dzień pod murami Warszawy. Zaczęła się praca gorączkowa, nerwowa, wyścigi z czasem, praca pełna improwizacji. Każdy z moich podkomendnych zdawał sobie sprawę, że 3, 4 i 5 września będą dniami krytycznymi, i jeżeli przeciwnik w tym czasie nie uderzy, można będzie w dniu 6 września stawić mu jako taki opór.

Oddziały piechoty o świcie 4 września zaczęły obsadzać wyznaczone stanowiska. Gdy dziś przeżywam to wszystko powtórnie, mogę na samym sobie stwierdzić prawdziwość powiedzonka: «szukajcie, a znajdziecie». Bieganie, szukanie, proszenie zaczęło wydawać pierwsze owoce. Wyróżnił się tym major Chernig, dowódca artylerii przeciwpancernej; znalazł w mieście 6 dział artylerii konnej, potem przydzielono ją PAL-owi 75. Siła przeciwpancerna z każdym dniem zaczęła wzrastać, a z nią pewność i ufność w siebie piechoty. Artyleria polowa, użyta pojedynczo, jako działa przeciwpancerne, okazała się bronią znakomitą i ona głównie rozstrzygnęła bój 9 września, rozbijając lub czasowo unieszkodliwiając około 80 czołgów, tak że Niemcy już więcej nie próbowali atakować. 9 września obrona Warszawy została formalnie podporządkowana dowódcy nowo utworzonej Armii Warszawa – generałowi Rómmłowi. Gdyśmy 1 października z generałem Rómmlem i Kutrzebą na czele wyjeżdżali z Warszawy do obozu jeńców, przemówił do nas gen. Blaskowitz, dowódca armii oblegającej Warszawę. Refrenem powtarzającym się kilkakrotnie w jego mowie był «Festung Warschau». Twierdza Warszawa. Generał Rómmel odpowiedział mu krótko, ale jakże proroczo, że losy wojny są zmienne. Nie wiem, co Blaskowitz rozumiał przez wyrażenie twierdza Warszawa, ale jestem przekonany, że wiedział dobrze, że tymi bunkrami były tylko piersi żołnierzy i bohaterskiej ludności Warszawy”.

Po przeszło miesięcznych walkach w osamotnieniu i wyczerpaniu dalszych możliwości obrony kraju, żołnierz polski zmuszony był do kapitulacji. Jako ostatnie składały broń w październiku oddziały na Wybrzeżu, podporządkowane kontradmirałowi Unrugowi oraz grupa Kleeberga pod Kockiem. Tak tamte dni wspominał admirał Un-

rug w swej niedrukowanej wypowiedzi: „Nieprzyjaciel nacierał siłami lądowymi od zajętego już poprzednio Pucka i Swarzewa. Z morza ostrzeliwały półwysep pancerniki: Schleswig-Holstein i przybyły później Schlesien. Wychodziły one co dzień z Nowego Portu pod Gdańskiem i trzymając się granicy, dziesięciokilometrowej głębokości, aby unikać ataków podwodnych, szły pod Orłowo, a później aż do Gdyni, ostrzeliwując przez parę godzin półwysep ze wszystkich dział. Pancerniki posuwały się bardzo ostrożnie, otoczone gęstą siecią trawlerów i eskorterów. Skoro nasze baterie osiągnęły trafienia zaraz eskorta otaczała pancernik sztuczną mgłą.

Niemcy widocznie, mimo swej przewagi, bali się celności polskiego ognia. Batalion marynarzy, sformowany z personelu lotnictwa w Pucku, został po kilkudniowych walkach wypchnięty z Wielkiej Wsi i Władysławowa. Odtąd Niemcy używali portu we Władysławowie do wyładowania ludzi i sprzętu. Obrona nasady półwyspu wycofana została na przygotowane stanowisko na zachód od Chałup. W Pucku, przy lotnisku, nieprzyjaciel urządził przystań wodnosamolotów, skąd nalatywały na zatokę i Półwysep Helski. Z końcem września dociera wiadomość o opuszczeniu granic kraju przez Rząd, a kilka dni później o kapitulacji Warszawy. Pozostaliśmy już tylko wysepką terytorium Polski. Znaczenie Helu jako bazy floty skończyło się, a dalsza walka była beznadziejna, zwłaszcza że zapasy amunicji artyleryjskiej były na ukończeniu. Wówczas zdecydowałem się na kapitulację. 2 października Niemcy wkroczyli na Hel. Przedtem nasza załoga zniszczyła sprzęt”.

Plk Adam Epler, walcząc w grupie gen. Kleeberga, wspominał po latach: „Zwycięstwo! W tej niemal chwili oddała piechota i artyleria swe ostatnie strzały. Nieprzyjaciel pierzchał przed bagnetem polskiego piechura i szablą ułana. Roztworzyła się szeroko brama w pierścieniu nieprzyjacielskim i już nigdy się nie miała zamknąć. Nie starczyło jednak środków do dalszej walki, która miała rozgorzeć 5 października. Niepotrzebnie lata samolot niemiecki i zrzuca po polsku pisane ulotki: «Uznajemy wasze męstwo oraz miłość Ojczyzny. Zaprzestańcie jednak walki. Jesteście sami. Niemcy szanują swoich jeńców i zapewniają wam rycerskie traktowanie w niewoli». Żołnierz polski długo grzebał w swych ładownicach i szukał nabojów. Kończyła się bitwa pod Kockiem i kończyła się wojna prowadzona przez generała Kleeberga na terenie połowy Polski, wojskiem zbieranym w piaskach Wschodu. Wszystko u niego było jak w filmie, rozwijającym od jego końca. Im głębiej w bój, tym stawał się silniejszy. Oddziały pęczniały, rosły na drogach swych marszów. Pękały dopiero, jak serce rozdane nadmiarem krwi wtedy, gdy dochodziły do szczytu swego przeznaczenia, do zwycięskiej walki pod Kockiem. Zaczął swą walkę od zwyczajnych żołnierskich słów codziennego rozkazu bojowego... Powtarzał je codziennie jak «Ojciec nasz», aż weszły w krew żołnierza i każdemu zadaniu odpowiadało proste – jakim było «zadanie» – «wykonanie». A że to «wykonanie» nieraz niemiłosiernie dużo krwi kosztowało, nie dziwiło to żołnierza; żołnierz dobremu dowódcy i krwi nie szczędzi i jej nie wypomina. I może dlatego nam Niemcy powiedzieli «biliście się po niemiecku». Biliśmy się na pewno lepiej. Dopiero wieczorem 4 października, gdy musiał się układać o kapitulację, wyszły gdzieś głęboko spod serca do żołnierza słowa «Polska i honor żołnierski». Wtedy nie były już apelem, podniętą, stwierdzeniem. On mógł tych słów użyć, miał do nich prawo i miał od nich prawo każdy żołnierz jego. Dlatego był naprawdę wodzem.

Co większego może żołnierz o swoim wodzu w chwili jego śmierci powiedzieć?

Szlak zakreślony ręką Generała i zadeptany nogami żołnierzy wybiega daleko na Zachód od Wisły. Trzeba będzie nań znowu powrócić. Taki był zamiar dowódcy i takie

zadanie żołnierza. Kto może je zmienić, jeśli dowódca już nie żyje, a żołnierz bić się znowu może. Trzeba wrócić na pola między Kockiem a Wisłą, na których w ostatni wieczór swego dowodzenia, w swym testamencie on do żołnierza swego o Polsce mówił”.

I na koniec relacja z ostatnich dni 9. pułku ułanów, ówczesnego dowódcy pułku, późniejszego generała i ostatniego dowódcy 1. Dywizji Pancerniej PSZ na Zachodzie – Klemensa Rudnickiego. „Dnia 28 września przenieśliśmy się do koszar Szwoleżerów, za Łazienki. tam stała cała kawaleria i tam następują wszystkie czynności związane z zakończeniem zaległych spraw pułkowych, przed wymarszem pułku z Warszawy, a właściwie przed faktycznym rozwiązaniem pułku. Jeszcze Krzyże Walecznych, awanse podoficerów i najdzielniejszych ułanów, wreszcie wypłatą żołdu i poborów aż do wyczerpania wszystkich pieniędzy z kasy pułkowej, a przede wszystkim pożegnanie sztandaru przez pułk i zabezpieczenie go. Sztandar nie może iść przecież do niewoli i musi być ukryty w największej tajemnicy. Dnia 29 września po południu stał pułk w rozwiniętym szyku, po raz ostatni w całości na zbiórkę. (...) Jest to więc ostatnia sposobność pożegnania całości. Raport zdaje Tomaszewski. Wszyscy czują powagę chwili. Witam się z pułkiem i po raz ostatni przechodzę przed jego frontem. Adiutant odczytuje ostatni rozkaz pułkowy, potem przemawiam. Oddaję hołd poległym towarzyszom broni, dziękuję żywym za wzorowe spełnianie swych obowiązków, mówię już zupełnie wyraźnie o konieczności kontynuowania walki i wskazuję na Francję, jako miejsce dokąd należy dążyć indywidualnie oraz wyrażam głęboką wiarę w rychłe odtworzenie pułku i ostateczne zwycięstwo! Pożegnanie kończymy okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej oraz tym codziennym «Czołem ułani» i «Czołem Panie Pułkowniku», które tym razem brzmi jakoś inaczej niż zwykle. Jeden egzemplarz ostatniego rozkazu pułkowego bierze adiutant rtm. Juszcak, idący na wschód. W ten sposób regulujemy ostatnie sprawy pułkowe, po czym zaraz biorę Kowalskiego i Sapiechę do łazika i jedziemy do miasta, aby znaleźć bezpieczne miejsce ukrycia i przechowania sztandaru”.

Podejmując próbę oceny kampanii wrześniowej, generał Norwid-Neugebauer słusznie stwierdzał: „Za mało dotychczas istnieje możliwości, by analizować motywy i omawiać decyzje dowódców. (...) Nie da się również scharakteryzować pracy sztabów i wykonawców. Za to w pełnym świetle występuje żołnierz – obrońca wolności, jego wartości duchowe i narodowe. (...) Z bogatych przeżyć jednomiesięcznych walk o Polskę, już teraz występują wnioski, co do roli pancerza i samolotu i straszliwych skutków ich działania. Można spokojnie przemyśleć epizody natarcia i otrzymać nowe naświetlenie zagadnienia obrony własnej niepodległości wobec przemocy fizycznej. Dadzą się również wysunąć wnioski co do wyboru dróg politycznych i metod rządzenia dla narodów pragnących kroczyć drogą prawdziwej ewolucji stosunków ogólnoludzkich”.

Często rodzi się pytanie, czy Polska mogła w 1939 r. uniknąć wojny. Jeszcze na Węgrzech, w czasie pobytu w miejscowości Szantod w 1941 r., marszałek Edward Rydz-Śmigły opracował odpowiedź na to nurtujące pytanie, w której stwierdzał: „Nie tylko Polska, lecz cała Europa mogła uniknąć długiej, niszczącej wojny kosztem krótkiej i stosunkowo łatwej operacji wojskowej, gdyby przyjęto polską propozycję wojny prewencyjnej z Niemcami, z którą zwrócił się do Francji w roku 1933 marsz. Piłsudski, a którą powtórzył w roku 1936 min. Beck. Po otrzymaniu tej propozycji stała praca naprzód ekspansja hitlerowskich Niemiec musiała wcześniej czy później doprowadzić do wojny – chyba, że wszystkie państwa poddały się Hitlerowi bez walki, jak Austria i Czechy”. I dalej wyjaśnia marszałek: „Polska mogłaby uniknąć wojny z Nie-

mcami za cenę wojny z Rosją, gdyby zgodziła się na antysowieckie sugestie Hitlera oraz Goeringa i poszła razem z Niemcami na wschód. Lecz wtedy (...) straciłaby na pewno dzielnicę zachodnie i stała by się wasalem Rzeszy. Toteż odmowna odpowiedź, jakiej udzielił Goeringowi marsz. Piłsudski, była całkowicie uzasadniona (...).

Czy wreszcie Polska mogła uniknąć wojny przez bezpośrednie rokowania z Niemcami? Czy może powinna była zgodzić się na oddanie Gdańska i eksterytorialną autostradę przez Pomorze?

Wydaje się pewne – stwierdza dalej marszałek – że autostrada byłaby co najmniej «koniem trojańskim», a zgoda na nią byłaby jeszcze większą lekkomyślnością niż ta, którą popełnił książę Konrad Mazowiecki w XIII w., dając Krzyżakom Ziemię Dobrzyńską. Zresztą, byłby to jedynie początek. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że po przyjęciu pierwszych żądań Hitlera nastąpiłyby dalsze, że po Gdańsku i Pomorzu przyszłyby kolej na Śląsk, Poznańskie itd., aż do zupełnego zniszczenia niepodległości Polski i całkowitego podporządkowania jej Niemcom. Przecież o taktyce stopniowania żądań Hitler pisał już w «Mein Kampf», a wypróbował ją z powodzeniem na Czechosłowacji. Polska nie mogła więc w żadnym wypadku liczyć na możliwość zaspokojenia pretensji niemieckich kosztem ograniczonych ofiar ze swojej strony, nie mówiąc już o tym, że poczucie honoru i jednomyślna postawa całego narodu polskiego nie pozwalały na oddanie bez walki żadnej części naszego terytorium. (...) Stwierdzić więc należy, iż Polska wojny uniknąć nie mogła, jeśli nie chciała skończyć niesławnie. Poniosła i ponosi olbrzymie ofiary, ale dała początek wojny wyzwoleniczej spod supremacji niemieckiej (...). Dziś żyjemy pod świeżym wrażeniem klęski, powstają w nas te same uczucia samooskarżeniowe, jak u naszych pradziadów po rozbiorach. W blasku zwycięstwa topnieją wszystkie winy, w mroku klęski winnych, głoszą pomstę za swój zawód, za swoje nieszczęście. Nie tylko dlatego należy zdobyć się na sąd krytyczny, ale wyzwolić się z zamętu uczuć, nie tylko dlatego należy sięgnąć w splot wydarzeń historycznych i dociekać prawdy, ażeby przez samooskarżenie nie umniejszać i nie poniżać własnych wartości – ale dlatego, aby odetchnąć pełną piersią, a nieuszczipłone siły oddać z wiarą w Polskę – Polsce”.

Patrząc na wrzesień 1939 r. należy stwierdzić, że wtedy przesądzona została tylko sprawa pierwszego fragmentu wojny. Mimo poniesionej klęski, nie było poddania kraju, nie było przerwy w działaniach wojennych, czego przykładem jest kontynuacja walki przez oddziały mjr. Dobrzańskiego „Hubala”. Ponadto naczelne władze Polski słusznie zdecydowały się na organizację wojska na obczyźnie i kontynuowanie walki, mimo militarnej klęski na polach bitewnych we własnym kraju. Już w listopadzie 1939 r. powstała Armia Polska na terenach Francji, walcząca dzielnie aż do końca wojny. Naród polski nigdy też nie ugiął się pod przemocą, mimo całego aparatu terroru stosowanego przez nieprzyjaciela. I o tym należy pamiętać.

BIBLIOGRAFIA

- Roman Abraham, *Wrzesień z perspektywy 30 lat*, „Więź”, 1969 nr 9
- Władysław Anders, *Bez ostatniego rozdziału. Wspomnienia z lat 1939-1946*, Londyn 1959
- Józef Beck, *Ostatni raport*, Warszawa 1987
- Zygmunt Bohusz-Szyszko, *Pierwszy bój. Na żołnierskim szlaku*, Szwajcaria 1943
- Walerian Czuma, *Obrona Warszawy: Wrzesień 1939 r. Świadkowie historii*, płyta III. nagr. Rozgłośnia Polska RWE, Nowy Jork 1965
- Adam Epler, *Ostatni żołnierz Polskiej Kampanii 1939*, Tel Aviv 1942
- J.F.C. Fuller, *Druga wojna światowa 1939-1945*, Warszawa 1958
- Kazimierz Glabisz, *Na marginesie Kampanii Wrześniowej*, „Bellona”, 1941 nr 7, Londyn
- Kazimierz Glabisz, *Pierwsza faza Kampanii Wrześniowej*, „Bellona”, 1955 nr 1, Londyn
- Władysław Günther, *Pióropusz i szpada*, Paryż 1963
- J. Kimche, *The Unfough Battle*, London 1968
- Stanisław Kopański, *Wspomnienia wojenne 1939-1946*, Londyn 1961
- Stanisław Maczek, *Od podwoły do czołga. Wspomnienia wojenne 1918-1945*, Edinburgh 1961
- Zbigniew Mierzwiński, *Generałowie II Rzeczypospolitej*, T. I, Warszawa 1991
- Zbigniew Mierzwiński, *Generałowie II Rzeczypospolitej*, T. II, Warszawa 1995
- Aleksander Narbut-Łuczyński, *U kresu wędrówki. Wspomnienia*, Londyn 1966
- Mieczysław Norwid-Neugebauer, *Kampania Wrześniowa 1939 w Polsce*, Londyn 1941
- Ludmomił Rayski, *Słowa prawdy o lotnictwie polskim 1919-1939*, Londyn 1948
- Klemens Rudnicki, *Na polskim szlaku (Wspomnienia z lat 1939-1947)*, Londyn 1986
- Edward Rydz-Śmigły, *Czy Polska mogła uniknąć wojny*, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1962
- Stanisław Sosabowski, *Najkrótszą drogą*, Londyn 1957
- Wacław Stachiewicz, *Pisma*. T. I. *Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939*, Paryż 1977
- Wacław Stachiewicz, *Pisma*. T. II. *Kampania wrześniowa 1939*, Paryż 1979
- Paweł Starzeński, *Trzy lata z Beckiem*, Warszawa 1991
- Kazimierz Sosnkowski, *Cieniom Września*, Warszawa 1988
- Kazimierz Sosnkowski, *Materiały historyczne*. Zebr. Józef Matecki, Londyn 1966
- Kazimierz Sosnkowski, *Przyczynki do sprawy zbrojeń polskich w okresie 1935-1939*, Londyn 1973
- Aleksander Szychowski, *Z relacji Szefa Komunikacji Naczelnego Wodza o transportach wojennych w Wojnie Obronnej 1939. Wybór źródeł*, Warszawa 1968
- Antoni Szymański, *Zły sąsiad*, Londyn 1959
- Józef Unrug, *Kampania Wrześniowa. Marynarka Wojenna. Dokumenty i opracowania*, Londyn 1968
- Józef Unrug, *Obrona Wybrzeża w 1939 r. – Świadkowie historii*, płyta III, nagr. Rozgłośnia Polska RWE, Nowy Jork 1965
- Józef Zajac, *Dwie wojny. Mój udział w wojnie o niepodległość i obronie powietrznej Polski*, Londyn 1964